POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 15 MARCA 1930 ROKU NR. 11

ANDRZEJ STRUG

5)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Mroźna mgła listopadowa, przedranna zasnuwała świat coraz szczelniej. Jej niezmierna ławica sunęła zwolna od morza, płynęła nocą przez pola, lasy, przebywała rzeki, puste, senne ulice miast i przed samym wschodem słońca weszła w pustynię wojny. Swoją szarą oponą usiłowała zasłonić nędzę tej ziemi przed brzaskiem dnia. Otulała wyrwy i rozkopiska, kryła ruiny, szczątki, trupy i ludzi, którym nakazano czuwać po dziurach, skrytkach i zasadzkach. Sprawiała ciszę na tych polach i przewlekała chwilę, gdy można będzie sięgnąć wzrokiem i pociskiem. Wstrzymywała na dalekich tyłach lotników, gotowych do wyjazdu, nakazała milczenie baterjom. Dawała sen zdręczonym przemarzłym żołnierzom, którzy noc spędzili grzebiąc i budując w błocie. Na godzinę zawieszała walkę, przedłużała o godzinę życie tym, dla których ów dzień miał być ostatnim. Pod jej osłoną wypełzały patrole, czujki i podsłuchy, pod jej osłoną szukano rannych.

Jej niedostrzegalne drobiny - kropelki tężały na ziemi, na ludziach, na rzeczach, zamieniały się w rozwidlenia i gałązki kryształków, rozrastały się, krzewiły bujnie i wnet, w parę chwil okryły wszystko jak całunem białym szronem. Odświętnie przybrały się druty kolczaste, ich rzędy, sploty, powikłania zarysowały się w fantastyczne girlandy i pasma, okryte kunsztowną pajęczą okiścią. Pobielały deski, żerdzie i sine twarze umarłych, przyozdobił się każdy szczątek i śmieć. Poranny przymrozek marszczył i ścinał kałuże w głębokich lejach i w czeluściach wązkich chodników.

Przepływały we mgle widma i zjawy. Kolumny duchów unosiły się nad pobojowiskiem, odchodząc kędyś precz, uciekając w popłochu przed jakąś chwilą, która czaiła się już w złudnej ciszy. — Prędzej, prędzej —podszeptywał zimny podmuch, przeganiając ostatnie strzępy mgieł. W ich gąszczu przezierały już luki i pustacie. Pojaśniało, po ziemi rozlał się niespodziany blask. I nagle rozpostarło się czyste głębokie niebo. Na kresach niezmierzonej równiny, w zamęcie, w rozwichrzeniu stubarwnem obłoków wschodziło słońce. Mieniło się i grało na niebie wspaniałe misterjum rodzącego się dnia. Oto wyjrzał już z poza rubieży ziemi pierwszy rąbek tarczy słonecznej, spojrzał na świat w purpurze ognia i krwi. W tej samej chwili gdzieś daleko runęły ciężkie grzmoty. Za niemi, jak na sygnał, zaczęły się budzić coraz to nowe i nowe, bliżej, dalej, bądź głuche, bądź przeraźliwe w swoim trzasku.

Nadbiegały, oznajmiając się z oddala ponurem wyciem i przelatywały w zajadłym rozpędzie roje pocisków. Rozszalały się nad równiną ich jęki, westchnienia, skowyty, pogwizdy. W czarnych dymach, w przeraźliwych łyskaniach ognia, w ciężkim huku, jeszcze raz poraz setny i tysiączny wywracały, wydzierały, szarpały trzewia tej ziemi. Rozpoczynał się nowy dzień wiekopomnych listopadowych bojów tego roku — czwartego roku wielkiej wojny światowej. Dowództwo francuskie nakazało za wszelką cenę utrzymać wczorajsze pozycje, dowództwo niemieckie nakazało za wszelką cenę wytrwać i nie ustąpić nieprzyjacielowi jednej piędzi ziemi. — Żadna strona nie zamierzała ataku, obie nie miały już sił. Ale ogień szalał, bój toczył się jakby sam przez się. Wiekopomny, od trzech lat trwający spór o pustynię bez nazwy i imienia, na której ongiś znajdowały się podobno dziś ocalałe jedynie na starych mapach — lasek Colombe, ferma de la Routoire, przysiółek St. Vaast i młyn Souchez.

ROZDZIAŁ II.

Olbrzymia, oszklona hala dworca Montparnasse pełna była zimnej mgły, czadu, dymu i ciemności. Rzadkie, wysoko zawieszone lampy łukowe tonęły gdzieś w górnej przestrzeni. W półmroku torów roiły się senne tłumy w jakimś pełzającym rytmie. Gromady szarych ludzi skupiały się w zwartą masę u wylotów przejść podziemnych, rozłaziły się po poczekalniach, wystawały przed długiemi stołami kantyn dworcowych. Ich pogwar był zciszony, chwilami wśród tysiącznego tłumu zapadało milczenie i wówczas wybijał się wśród ciszy jakiś przenikliwy, niepohamowany głos kobiecy, niespokojny, rwący się w łkaniu, w zapamiętałym rozpaczliwym płaczu. Szybko tłumił go pogwar, człapanie setek okutych butów po kamiennych płytach, żelazny rumot przesuwanych wagonów. Ale zaledwie pociąg przewlókł się przez halę, żal i ból kobiecego płaczu odzywał się z innego miejsca, powtarzał się dalej, bliżej, troił się, pomnażał, był coraz to inny i zawsze ten sam. Był to jedyny żywy dźwięk w tępym, leniwym rozgwarze, głos czyjegoś czuwania wśród uśpionej masy, wydzierał się w nim jakby krzyk nagiej prawdy z odmętu dręczącego koszmaru. Bez trudu zalewało go, jak wątły płomyczek, szemrzące morze pogłosów, rozmów, westchnień, pytań i niemilknących sporów z żandarmami, którzy tkwili gęsto na przepisanych punktach, jak dobroduszne i bezlitosne w swym martwym spokoju maszyny, sprawujące tutaj władzę i dyscyplinę. Ale niech przymilknie dworzec na jedną sekundę, natychmiast przekradnie się spazmatyczny okrzyk, nieutulona skarga i ból istoty, której przemocą oddzierają żywą połowę ciała, połowę duszy, albowiem on znowu, jeszcze raz wraca na front.

Nie zdołała uwierzyć, że go widzi żywego na swoje oczy, nie zdążyła opowiedzieć mu znikomej cząstki z tego, co się w niej nagromadziło od ostatniego widzenia, co przecierpiała, jak przetrzymała... Nie miała z nim chwili spokoju, nie zaznała ukojenia w jego uścisku, przemknęło wszystko i już przepadło. Gdzież się naraz podział ten olbrzymi czas — całe sześć dni? Sześć dni — okrucieństwo... Ani odpoczął, ani się opamiętał, był zdziczały, nieswój, przybył jak obcy i oto już odchodzi niepoznany.

Stare wygi, żandarmi, jowialnie poklepywali po plecach zdręczone niewiasty i ucieszali je ladajakim konceptem. Masa żołnierska była zasępiona i zła. Rozjątrzeni i tylko znużeni tą parodniową wolnością wracali teraz do okopów na całą zimę, jedni już na drugą, inni na trzecią, niektórzy na czwartą zimę. Co było robić? Niech djabli wezmą wszystko... Zacięli się i milczeli. Stali zwartą, brudno-szarą masą popod murem dworca na tle ściany, szczelnie zalepionej jaskrawemi afiszami, malowanemi przez najprzedniejszych artystów Francji. Tam była cała radość, tam śmiał się junacki humor walki, tam było murowane zwycięstwo. Jakże śmieszny i nędzny był ten podły Niemczura, z rękami podniesionemi do góry i z przerażeniem w głupich oczach... Zdychał z głodu w swoim Vaterlandzie, już miljon ich pracowało dla Francji w pocie czoła w niewoli, przewracał się do góry nogami ze swoją łodzią podwodną i tonął, zestrzelony przez marny szluper rybacki z St. Mâlo. Wszędzie tryumfował bohaterski poilu i z uśmiechem szedł na wroga — on les aura! Nawet w nad wyraz skąpem wojennem oświetleniu dworca jaśniała ściana barwami i nieprzemożoną ochotą. Patrząc na to, możnaby mniemać, że wojna to rzecz lekka, łatwa i pomimo wszystko — właściwie niemal przyjemna. Dlatego też zapewne ciągnie się już czwarty rok.

Z oddali nadlatywał grzmot rozpędzonego pociągu, żandarmi nasrożyli się, zaczęli pokrzykiwać groźnie i urzędować na peronie z najwyższą gorliwością. Jeszcze ich przybyło — cały oddział pchał się do podziemnego przechodu i znikł w jego czeluści. Natłoczony pociąg, pełen głów w niebieskich furażerkach i pełen śpiewania, zamętu i wrzasku, zaskrzypiał w pędzie, zazgrzytał hamulcami i stanął na przeciwległym torze. Drzwiami i oknami na obie strony wysypywały się roje żołnierzy. Pędzili do tunelów, walili naprzełaj przez tory. Zalali peron rozhukaną masą, we mgnieniu oka starli żandarmów, w przelocie roznieśli trzy kantyny, gdzie szlachetne panie dyżurowały przy zastawionych stołach. Poszły wniwecz bułki, ciastka, marmelady, puszki z mlekiem i inne specjały. Zdziczałe, niegolone twarze zionęły jakąś surowo wzbronioną, buntowniczą pieśnią. Wielu z litrami w ręku dopijało resztek i trzaskało butelkami o ziemię. Ich obłocone, straszliwie złachane mundury, kapoty i portki ziały zastarzałym brudem i stęchlizną ziemi. Bohaterzy z pod St.Quentin, z La Fère, z Coucy... Z pod Craonne, Loivre, Rheims — Perthes — Massigny — Verdun — Doumartin — Ailly... Z Pont à Mousson, z Hartman weiler Kopf... Zewsząd przybywali na swoje sześć dni. Grzmot głosów obijał się echami o nagie mury, o szklane sklepienie. Każdy coś krzyczał. Podszczuwali cicho stojących kolegów, którzy wracali na front.

— Nie śpiesz się tak jeden z drugim, jeszcze zdążysz na swój pogrzeb!

— My już nie wrócimy, co to, to nie!...

— Dosyć wojny! Dosyć wszy!

— Nie jechać! Walcie z nami na parlament!

— Stare małpy! Zdrajcy sprawy żołnierskiej!

— To wy przedłużacie wojnę!

— Łamistrajki!

Przelecieli, jak burza. Jeszcze przez chwilę kotłowało się u wyjść na miasto, gdzie wzmożone posterunki żandarmerji usiłowały rozpaczliwie i bez skutku przeprowadzać kontrolę i szara masa rozlała się po wielkim placu, po sieci przyległych ulic i wsiąkła bez śladu w ogrom miasta.

* * *

Wszędzie posępnie i ciemnawo. Po sklepach skąpo świeciły oszczędnościowe żarówki, nikły był ruch uliczny, zrzadka przesunie się tramwaj, niekiedy samotne auto. Dopiero w pobliżu Opery skupiał się ruch, jakby po dawnemu, jak za starych, dobrych czasów. Pomimo zimna wysiadywali ludzie po tarasach kawiarni, w półmroku, potęgowanym przez mgłę. Wszędzie przewodzili żołnierze, między nimi mnóstwo anglików. Lekko ranni, z rękami na temblakach, z opatrunkami na głowach, kulejący, o kijach snuli się w swoich błękitnawych płaszczach pośród czarnych cywilów. Słabo świeciły nawet wejścia do kin, świetne sklepy, kawiarnie i pierwszorzędne restauracje wyglądały z ulicy na opuszczone pieczary, w których ginęły żółte lampki. Rozjaśniło się dopiero przed redakcją Matin'a, gdzie na olbrzymim ekranie, sięgającym trzeciego piętra, rzucano ostatnie wiadomości. Zwarty, milczący tłum ze wzniesionemi do góry głowami chłonął te nowiny.

Komunikat wieczorny: położenie bez zmiany, naogół spokój. Nieprzyjaciel usiłował odzyskać południowe wzgórze Mort-Homme, odparty z ciężkiemi stratami, jedenaście karabinów maszynowych, dwustu siedemnastu jeńców...

Tłum czytał w milczeniu, bez zainteresowania, bez komentarzy; nie znać było, żeby potrzebował tych nowin, żeby im wierzył albo nie wierzył. Wystawał przed tą redakcją poprostu z zastarzałego nałogu, gdyż o swojej godzinie już od trzech z górą lat tak samo czyta gazety, tak samo patrzy na urzędowe bohaterskie afisze. Znosi wszystkie ciężary i dolegliwości tych czasów, przebolał już własne straty i klęski, stępiał, skulił się w sobie i czeka końca. Wie, że wojna mogłaby się bodaj nie zaczynać, ale musi się wreszcie skończyć — mniejsza już o to, jak. Ale i to było raczej teoretycznem przypuszczeniem — bo któż to wie, czy wogóle będzie kiedy inaczej? Życie stało się tak osobliwe, wszystko oddawna wyglądało wręcz niemożliwie, a jednak jakoś przecie trwa i ani razu nie zawaliło się jeszcze...

— Poczekaj-no pan, najgorsze jeszcze nie przyszło!

— Najgorsze? Była Marna, było Verdun, czego pan jeszcze chcesz? W rezultacie nic nam nie zrobią.

— Rosja już odpadła, Anglję do Nowego Roku dokończą łodzie podwodne... Ładnie będziemy wyglądać...

— Przyjdą trzy miljony Amerykanów!

— Będziesz ich pan widział — bluff bezczelny, nic więcej.

(D. c. n.).

JĄDRO CIEMNOŚCI

(11)

Kość słoniowa? Oczywiście! Całe kupy, całe sterty kości słoniowej. Stara szopa z mułu była nią przepełniona. Mogło się zdawać że ani jeden kieł nie pozostał na ziemi, czy pod ziemią, w całym kraju. „Przeważnie kopalna", zauważył pogardliwie dyrektor. Była równie kopalna jak i ja jestem kopalny; tak nazywają kość słoniową wydobytą z ziemi. Okazuje się że Murzyni niekiedy kły zakopują, ale najwidoczniej nie umieli zakopać tej partji tak głęboko, aby uchronić utalentowanego Kurtza przed jego przeznaczeniem. Zapełniliśmy nią parowiec i jeszcze musieliśmy ułożyć cały stos na pokładzie. To też Kurtz mógł patrzeć na nią i cieszyć się póki żył jeszcze, gdyż oceniał ten dar losu aż do końca. Trzeba go było słyszeć jak mówił: „Moja kość słoniowa". O tak, słyszałem go. „Moja narzeczona, moja kość słoniowa, moja stacja, moja rzeka, moje — — —" wszystko należało do niego. Powstrzymywałem oddech, spodziewając się że dzicz buchnie szalonym śmiechem, od którego gwiazdy zadrżą w posadach. Wszystko należało do niego — ale to drobnostka. Trzeba było przedewszystkiem ustalić, do kogo on należał, ile ciemnych potęg uważało go za swoją własność. Skóra cierpła kiedy się o tem myślało. Nie można sobie było tego wystawić — i nawet niedobrze było zastanawiać się nad tem. Ów człowiek zajął wysokie miejsce wśród szatanów tego kraju — mówię to dosłownie. Nie możecie tego zrozumieć! I cóż dziwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsiedzi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczycie sobie ostrożnie między rzeźnikiem a policjantem, przejęci zbawiennym strachem przed skandalem, i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych — więc jakżebyście mogli sobie wyobrazić owe szczególne krainy pradawnych wieków, dokąd swobodny krok człowieka może go zaprowadzić przez samotność — zupełną samotność, bez policjanta — przez milczenie — zupełne milczenie, w którem się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepczącego o opinji publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę. Kiedy ich zbraknie, musi się człowiek oprzeć na własnej, wrodzonej sile, na swojej własnej prawości. Można być oczywiście zbyt wielkim głupcem aby zejść z prostej drogi — zbyt tępym by poprostu czuć, że się jest napastowanym przez mroczne potęgi. Twierdzę iż żaden głupiec nie sprzedał nigdy djabłu swej duszy; może głupiec na to za głupi, a może djabeł zbyt djabelski, nie umiem powiedzieć. Zdarzają się też czasem tak wściekle podniosłe istoty, że są najzupełniej głuche i ślepe na wszystko prócz niebiańskich widzeń i dźwięków. Dla nich ziemia jest tylko miejscem postoju — a czy taka natura jest dla człowieka stratą czy zyskiem — nie podejmę się rozstrzygnąć. Ale większość z nas nie należy ani do jednego, ani do drugiego z tych typów. Ziemia jest dla nas miejscem gdzie żyjemy, gdzie musimy znosić różne widoki, dźwięki, a także i zapachy, dalibóg! oddychać wonią zdechłego hipopotama, że się tak wyrażę, a jednak się nie zatruć. Właśnie tutaj — rozumiecie mnie? — wchodzi w grę siła człowieka, wiara w swoją umiejętność dyskretnego kopania dołów, w których się zagrzebuje niepożądany materjał — zdolność do oddania się nie własnemu celowi, ale jakiejś sprawie bynajmniej nie rozgłośnej, przygniatatającej swoim ciężarem. A to jest dosyć trudne. Zrozumcie że nie staram się nikogo usprawiedliwiać ani nawet tłumaczyć — staram się tylko zdać sobie sprawę z — z — Kurtza — z cienia Kurtza. Ten wtajemniczony duch, który przyszedł z głębi nicości, zaszczycił mię zdumiewającem zaufaniem przed swem ostatecznem zniknięciem. A to z tego powodu, że mógł mówić ze mną po angielsku. Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglji, i — jak sam łaskawie oświadczył — sympatje jego leżały po właściwej stronie. Matka jego była nawpół Angielką, ojciec — nawpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowiedziałem się z czasem, że *Międzynarodowe Towarzystwo tępienia dzikich obyczajów* powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Widziałem go. Czytałem. Był wymowny, tętniący wymową, lecz nastrojony na zbyt wysoką nutę jak mi się zdaje. Kurtz znalazł czas by zapełnić gęstem pismem całych stron siedemnaście! Ale to było zapewne nim jego — powiedzmy — nerwy się rozkleiły, w następstwie czego przewodniczył o północy pewnym tańcom, kończącym się obrzędami o których mówić nie sposób, i które — o ile mogłem wywnioskować z odrazą z tego co w różnych czasach słyszałem — odbywały się na jego cześć — rozumiecie? na cześć Kurtza we własnej osobie. Ale raport był pięknym kawałkiem prozy. Tylko że pierwszy jego paragraf wydaje mi się teraz złowróżbnym w świetle późniejszych informacyj. Zaczynał się od argumentu że my, biali, na osiągniętym przez nas szczeblu rozwoju, „musimy z natury rzeczy wydawać się im (dzikim) nadnaturalnemi istotami — zbliżamy się do nich z potęgą jak gdyby bóstwa" — i tak dalej i tak dalej. „Przez proste wykonywanie naszej woli możemy rozwinąć dodatnią działalność o potędze iście nieograniczonej", i t. d. i t. d. Od tego punktu wznosił się coraz wyżej i uniósł mnie z sobą. Perora była wspaniała, choć, uważacie, trudna do zapamiętania. Wywołała na mnie obraz jakiegoś egzotycznego Bezmiaru rządzonego przez wzniosłą Dobrotliwość. Porwał mię zapał. Był to skutek bezgranicznej potęgi wymowy — słów — płomiennych, szlachetnych słów. Żadne praktyczne wskazówki nie przerywały magicznego toku zdań, chyba że uznamy za rozwinięcie metody coś w rodzaju notatki przy końcu ostatniej strony, notatki nagryzmolonej niepewną ręką snać znacznie później. Była bardzo prosta i, u końca tego wzruszającego wezwania do wszelkich altruistycznych uczuć, gorzała, jaśniejąca i przeraźliwa, jak błyskawica wśród pogodnego nieba: „Wytępić wszystkie te bestje!" Co ciekawe, Kurtz zapomniał widać zupełnie o swem cennem postscriptum, gdyż później, kiedy w pewnej mierze przyszedł do siebie, błagał mię raz po raz abym przechował starannie jego „broszurkę" (jak mówił); nie wątpił widać że ów referat wywrze w przyszłości dodatni wpływ na jego karjerę. Byłem dokładnie poinformowany o wszystkich tych sprawach, a przytem tak się złożyło, że musiałem się zaopiekować dobrą sławą Kurtza po jego śmierci. Zrobiłem tyle dla jego opinji, że uzyskałem niezaprzeczone prawo złoże-

nia jej — gdybym miał wolny wybór — na wieczny spoczynek między odpadkami postępu, wśród wszelkiego śmiecia i, mówiąc w przenośni, wszelkiej padliny cywilizacji. Tylko że, widzicie, nie mam wolnego wyboru. Kurtz nie pozwala o sobie zapomnieć. Mimo wszystko, nie był to człowiek pospolity. Miał władzę pociągania za sobą pierwotnych dusz — działając na nie przez swój czar czy też grozę — w straszliwy, szatański taniec na własną cześć; potrafił napełniać gorzkiemi obawami małe duszyczki pielgrzymów; miał conajmniej jednego oddanego przyjaciela i zdobył na tym świecie duszę, która nie była ani pierwotna ani zatruta sobkostwem. Nie; nie mogę o nim zapomnieć, chociaż nie posunąłbym się do twierdzenia, że wart był istotnie ludzkiego życia, któreśmy stracili docierając do stacji. Brakowało mi strasznie zabitego sternika — odczułem dotkliwie jego brak już wówczas, gdy leżał martwy w domku pilota. Może uznacie za bardzo dziwaczny ten żal za dzikusem, który nie znaczył więcej od ziarnka piasku w czarnej Saharze. Czyż nie rozumiecie że ten Murzyn coś robił, że sterował; przez całe miesiące tkwił za mojemi plecami — jako pomoc — jako narzędzie. To było coś w rodzaju spółki. Sterował na mój rozkaz — musiałem go pilnować, irytowały mię jego wady, i w taki sposób powstały między nami subtelne więzy, z których zdałem sobie sprawę dopiero po ich zerwaniu. A poufna głębokość wzroku, którym ogarnął mnie w chwili gdy został raniony, pozostała mi po dziś dzień w pamięci — niby apel odległego pokrewieństwa, stwierdzonego w ostatniej chwili.

— Biedny głuptas! Czemuż nie zostawił w spokoju tej okiennicy. Ale nie miał hamulca — nie miał żadnego hamulca — zupełnie jak Kurtz — drzewo miotane wichrem. Natychmiast po włożeniu suchych pantofli wyciągnęłem go na pokład, wyrwawszy mu przedtem włócznię z boku, a muszę wyznać że wykonałem tę operację z zaciśniętemi powiekami. Pięty jego przeskoczyły razem przez niski próg; przycisnąłem jego plecy do piersi; objąłem go od tyłu rozpaczliwym chwytem. Ach, jakiż on był ciężki, cięższy od wszystkich innych ludzi — tak mi się przynajmniej zdawało. Potem bez dalszych ceregieli wyrzuciłem go za burtę. Prąd porwał ciało jak źdźbło trawy; widziałem jeszcze jak się obróciło dwa razy nim nazawsze straciłem je z oczu. Wszyscy pielgrzymi i dyrektor byli wówczas zebrani na osłoniętym pomoście wkoło domku pilota, papląc między sobą jak stado podnieconych srok; mój pośpiech świadczący o braku serca wywołał pomruk zgorszenia. Dlaczego ci ludzie chcieli aby trup się poniewierał po statku, nie umiem teog odgadnąć. Może zamierzali go zabalsamować. Ale usłyszałem też inny pomruk z dolnego pokładu — pomruk bardzo złowieszczy. Moi przyjaciele drwale byli również zgorszeni, a mieli po temu daleko istotniejszą przyczynę — choć przyznaję że ta przyczyna sama przez się była zupełnie niedopuszczalna. Ale to zupełnie! Otóż postanowiłem, że jeśli już mój umarły sternik ma być zjedzony, to tylko przez ryby. Za życia był sternikiem bardzo drugorzędnym, ale po śmierci mógł się stać pierwszorzędną pokusą i nawet wywołać jakieś groźne kłopoty. Poza tem spieszno mi było wrócić do steru, gdyż człowiek w różowej pyżamie okazał się beznadziejnym durniem przy tej robocie.

— Zrobiłem to natychmiast, skończywszy z prostym pogrzebem. Płynęliśmy połową szybkości, trzymając się samego środka rzeki; przysłuchiwałem się rozmowom toczącym się naokoło. Wszyscy postawili już krzyż nad Kurtzem i stacją; Kurtz nie żyje, stacja spalona i tak dalej — i tak dalej. Rudy pielgrzym wychodził z siebie na myśl, że ten biedny Kurtz został przynajmniej należycie pomszczony. „Powiedzcie tylko! Sprawiliśmy im porządną rzeź w tej dżungli — może nie? No? Co o tem myślicie? Prawda?" Ten krwiożerczy, mały, bojaźliwy łajdak tańczył poprostu z radości. A przedtem o mało co nie zemdlał na widok rannego człowieka. Nie mogłem się powstrzymać i rzekłem: „W każdym razie narobiliście panowie mnóstwo dymu." Widziałem ze sposobu w jaki wierzchołki zarośli wstrząsnęły się i opadły, że prawie wszystkie strzały poszły za wysoko. Nie można trafić jeśli się nie celuje i nie strzela od ramienia, tymczasem ci faceci strzelali, oparłszy kolbę o biodro i zamknąwszy oczy. Twierdziłem więc — i miałem rację — że odwrót dzikich był wywołany przez świst gwizdawki parowej. Usłyszawszy to, pielgrzymi zapomnieli o Kurtzu i zaczęli na mnie ryczeć, zaprzeczając z oburzeniem.

— Dyrektor stał obok koła i szeptał do mnie poufnie, że w każdym razie musimy koniecznie ujechać dobry kawał wdół rzeki zanim się ściemni, gdy wtem spostrzegłem w oddali polankę na wybrzeżu i zarysy jakiegoś budynku. „Co to takiego?" spytałem. Klasnął w ręce ze zdziwienia. „Stacja!" wykrzyknął. Skręciłem odrazu ku brzegowi, jadąc wciąż połową szybkości.

— Zobaczyłem przez szkła stok pagórka i zrzadka po nim rozsiane drzewa bez żadnego podszycia. Długa, chyląca się do upadku budowla na szczycie wzgórza nurzała się do połowy w wysokiej trawie; wielkie dziury na stromym dachu ziały czernią z oddali; tło stanowiły lasy i dżungla. Nie dostrzegłem ogrodzenia ani żadnego płotu; ale widać poprzednio stało tam coś w tym rodzaju, bo blisko domu tkwiło rzędem pół tuzina wysmukłych, zgruba ciosanych słupów, o szczytach ozdobionych okrągłemi, rzeźbionemi kulami. Znikła z pomiędzy tych słupów barjera, czy cokolwiek tak było. Las otaczał naturalnie to wszystko. Brzeg był pusty, a tuż nad wodą zobaczyłem białego pod kapeluszem wielkości koła od wozu; człowiek ów kiwał na nas wytrwale ramieniem. Rozpatrując skraj lasu w górze i w dole, byłem prawie pewien że widzę tam jakiś ruch — ludzkie kształty przesuwające się gdzieniegdzie. Przejechałem przezornie obok stacji, poczem zatrzymałem maszyny i pozwoliłem statkowi dryfować w dół. Człowiek na brzegu zaczął wołać, nastając abyśmy wylądowali. „Napadli nas!" krzyknął dyrektor. „Wiem, wiem. To dobrze" — odkrzyknął tamten wesoło jakby nigdy nic. „Chodźcie tu. Wszystko w porządku. Bardzo się cieszę."

— Wygląd jego przypominał mi coś znanego — śmiesznego — co już kiedyś widziałem. Manewrowałem aby przybić do brzegu, pytając się siebie: „Do czego ten człowiek jest podobny?" Nagle błysnęło mi w głowie: wyglądał jak arlekin. Miał na sobie ubranie z jakiegoś materjału, prawdopodobnie z bronzowego płótna, które całe było pokryte łatami, jasnemi łatami, niebieskiemi, czerwonemi i żółtemi — łaty na plecach, łaty na przodzie, łaty na łokciach, na kolanach; barwna lamówka u kurtki, szkarłatna naszywka u końca spodni; w blasku słońca wyglądał w tem niezmiernie wesoło a przytem dziwnie schludnie, gdyż było widać jak pięknie te wszystkie łaty są zrobione.

(D. c. n.).